

## Wycieczka do wsi Bílá Voda (U Szyszki)

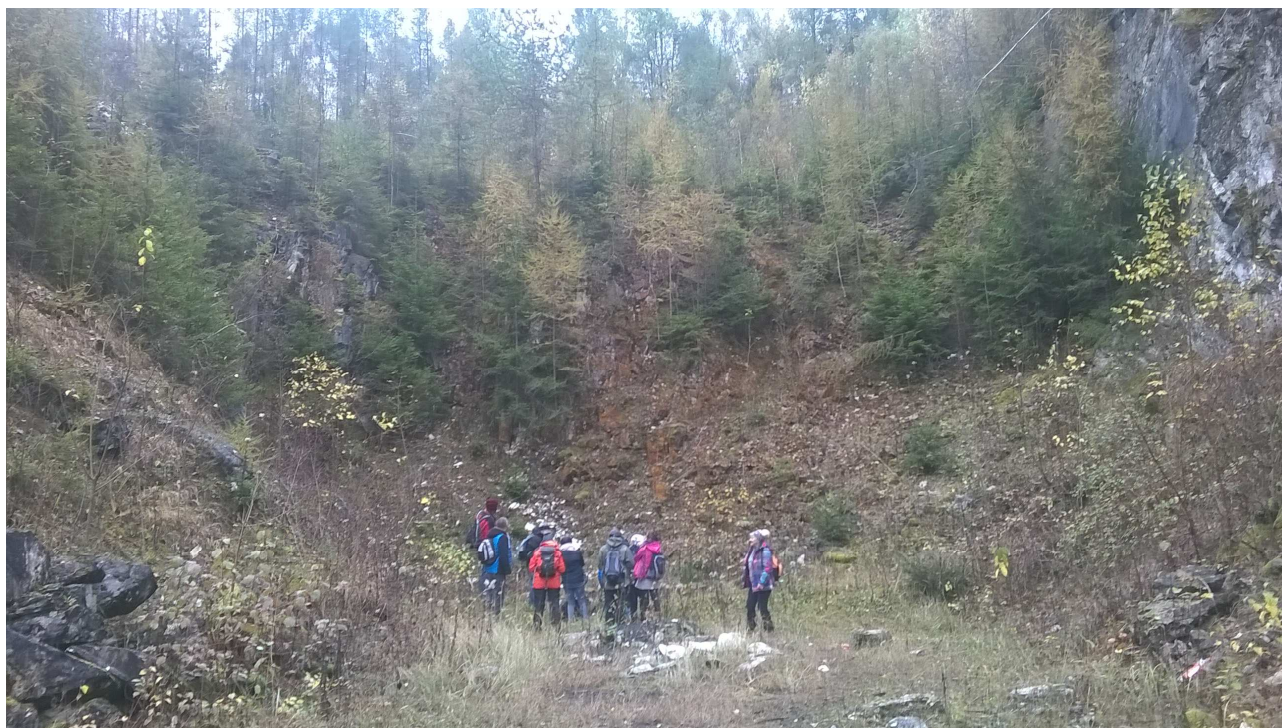
Spotykamy się, jeszcze rano, na parkingu pod kopalnią złota w Złotym Stoku (już dawno, dawno temu zamkniętą). A dokładniej, pod nowo otwartą Sztolnią Ochrową. Jasiu, organizator naszej wycieczki, wyjaśnia że taki kolor – ochry – mają ciuchy, gdy już się ze sztolni po zakończonym zwiedzaniu wychodzi. Przejścia są tam wąskie, można się łatwo otrzeć o ściany. A z góry spadają krople rdzawej wody. Chyba dobrze, że to będzie ostatni punkt naszego dzisiejszego “programu”.



*Źródło arsenowo-żelazowe i wejście do sztolni*

Sztolnię mamy zwiedzać dopiero po godz. 17., a do tej pory możemy się cieszyć świeżym powietrzem, przestrzenią – nie ogranicza nas nic! Nawet granica państwa, którą za chwilę przekroczymy. Wspinamy się ponad sztolnię, po dość stromym wzniesieniu i pojawia się pierwsza mała przeszkoda na naszej trasie (będą i inne, ciut nawet większe: zamknięte pastwisko, które trzeba obejść dookoła – czyli malutkie “chaszczowanie”, tzn. to, co organizator wycieczek “Odkrywanie okolicy” lubi najbardziej).

Wychodzimy na gruntową drogę na skraju lasu, zaglądamy do wyrobiska po dawnym kamieniołomie dolomitu.



*Kamieniołom*

Znów przypominają mi się Dolomity, o których moi znajomi regularnie jeżdżący w Alpy, opowiadają co rusz, jakby byli tam "jak u siebie". A ja wciąż tylko sobie marzę o tych Dolomitach i Alpach. I znowu ta myśl: co ja tu robię, w tym Złotym Stoku?

Polska rzeczywistość: dawny kamieniołom jest teraz miejscem "impresowym". Po ostatniej imprezie zostały nawet dwa szklane kieliszki, jakimś cudem nie rozbite. I mnóstwo śmieci (pewnie i po wcześniejszych "grilach"). Skalne ściany pomazgane jakimiś napisami. "A to Polska właśnie"... Smutno mi Boże.



*Mam "na pieńku" z taką Polską*

A za chwilę wejdziemy na czeską ziemię. Czystą, uporządkowaną. I będzie mi jeszcze smutniej, choć wiem, "Desiderata" mówi, żeby się nie porównywać, bo zawsze znajdą się lepsi i gorsi od ciebie: "Porównując się z innymi, możesz stać się próżny lub zgorzkniały, zawsze bowiem znajdziesz gorszych i lepszych pod siebie." Gorzknieję za każdym razem gdy znajdę się po czeskiej stronie granicy.

Może i banalni są ci Czesi: tacy pragmatyczni, bez fantazji, prozaiczni, ale np. przystanki komunikacji publicznej jakoś u nich takie nie zniszczone. Uliczki, ba, szlaki turystyczne także – czyściutkie.

My lubimy na nich spoglądać ze szczytów naszego romantyzmu, ale z tym ich prozaicznym życiem i brakiem fantazji to też nie do końca tak, jak to lubimy sądzić.

W końcu świat artystyczny, świat kultury, zna Kafkę, Haszka, Kunderę, Smetanę, Formana – a raczej nie zna Mickiewicza, Sienkiewicza, Miłosza, Wieniawskiego. A i co do naszego Wajdy mam wątpliwości czy przeciętny europejski widz, a nawet miłośnik kina, o nim coś słyszał. I gdzie te nasze przewagi?

I cóż, że dalej mówi mi Desiderata, że “jestem dzieckiem Wszechświata, a świat jest na właściwej drodze”:

*Jesteś dzieckiem wszechświata  
nie mniej niż drzewa i gwiazdy.  
Masz prawo być tutaj.  
I czy to jest dla Ciebie jasne, czy nie,  
wszechświat jest bez wątplenia na właściwej drodze.*

My Polacy na tej właściwej drodze jakby jeszcze nie jesteśmy. Nie, nie chodzi mi tu o żadną politykę – chodzi jedynie o proste, zwyczajne zachowania, o normy przyzwoitości, o ich przestrzeganie lub nie. I tylko na podstawie “oglądu” i porównania prowincjonalnych miasteczek i turystycznych miejsc po obu stronach granicy, pozwolę sobie co nieco “w tym temacie” napisać.

Dziś (28. października 2017 r.) nasi południowo-zachodni sąsiedzi obchodzą 99-rocznicę uzyskania niepodległości. Tak jak i my w 1918 r. ponownie zaistnieli na mapie Europy – wtedy jeszcze jako Czechosłowacja. Jasiu, znający Czechów, uprzedził nas, że raczej nie napotkamy na żadne oznaki tego jubileuszu.

I rzeczywiście: ani jednej bodaj flagi, zawieszanej z okazji święta, nie było. Podobno obchodzą to święto, ale raczej “centralnie” – w Pradze, może też w większych miastach.

My świętujemy nasz 11. listopada i centralnie, i na prowincji. Duma (usprawiedliwiona, naturalna i konstruktywna – państwowotwórcza) z niepodległości osiągniętej po 123 latach zaborów. Ale i pompa, i zadęcie. A jakby tylko obok wciąż stawiane na nowo pytanie, co zrobiliśmy z naszą wolnością?

Może lepiej trochę “spuścić z tonu” – z tych wysokich “C” co najmniej. I zamiast tych patriotycznych manifestacji, powrócić do pracy u podstaw, pracy organicznej? Do dbałości o dobro wspólne, o przestrzeń publiczną, o Lasy Państwowe, czyli wciąż nasze wspólne. Może w dniu 11. listopada spotkać się po prostu np. na “Sprzątaniu świata”, naszego przecież świata, który powinien być, jak nam mówi Desiderata, “na właściwej drodze”.

Zatrzymujemy się na punkcie widokowym, tuż przy drodze głównej, która prowadzi na Paczków, Otmuchów, Nysę.



*Wapiennik i punkt widokowy*

Jakiś stary wapiennik, kiedyś element tutejszych kamieniołomów, uratowany przed zawaleniem. Ładny podest, z którego roztacza się widok na miasto. W oddali widoczna stacja kolejowa, już nieczynnej linii kolejowej z Kamieńca Ząbkowickiego. Ci, co przed laty jeszcze nią jechali, wspominają swoje ówczesne kolejowe wycieczki.



*I widok na Złoty Stok z tego punktu*

Nieopodal, na tablicach typu "ścieżka edukacyjna" można poczytać o nieistniejącej już także restauracji, słynnej z win wszelakich, serwowanych na miejscu i ekspediowanych w świat. Ogladamy zdjęcia z epoki, w której kraina ta była niemiecka, względnie austriacka (tuż obok). W te pamiątki wejdziemy jeszcze głębiej, ale już po czeskiej stronie. Mnie w tej chwili interesuje to, że wbrew temu co czytałem, jest tu normalne (normalne, czyli w rozumieniu obecnym – nie ma go po prostu): przejście graniczne. Ot – dróżka, ładny

asfalt, na który z ww. głównej drogi można skręcić zaraz gdy Złoty Stok się kończy i już po chwili jest się w Czechach. Jak zwykle tylko Czesi informują, że tu zaczyna się i kończy ich Państwo. My, choć tak trudno było sobie to Państwo wywalczyć, jakoś nie przywiązujemy do tego wagi. Tablic polskich nie ma. Tzn. jest jedna: oznajmiająca, że tu Polska się kończy. Drugiej (że się tu także zaczyna) nie ma. Symboliczne?



*Granica Państwa*

Droga schodzi lekko w dół: tu kończą się nasze kłodzkie góry. Skorzystam z tej drogi następnym razem, gdy znów będę jechał moim motocyklem z Kotliny Kłodzkiej w Tatry – moją już trzykrotnie przemierzaną, przepiękną trasą wzdłuż polsko-czesko-słowackiej granicy. Gdyż ten odcinek to skrót do Jawornika, gdzie wjeżdżam wtedy na przepiękną drogę czeską nr 457, prowadzącą mnie przez puste przygraniczne połacie, przez Zlaté Hory, aż do Głubczyc.

Schodzimy tą drogą tylko kawałek do wsi Bílá Voda, dawnego ośrodka klasztornego, gdzie zwiedzimy kościół, regionalne muzeum, popatrzymy na zabudowania kolegium pijarów.



*Ten domek raczej jakby nie czeski...*

Wioska w jej dolnej części położona jest zupełnie już na płaskim terenie. Idealnie tu można było budować, rozłożyć się. Centrum miejscowości to kościół i łączące się z nim obszerne zabudowania klasztorne. Piękny barok. Na ulicach pustki. I żywej duszy brak! Typowa czeska miejscowość w dniu wolnym od pracy. Teraz dodatkowo jest zimno, co i rusz troszkę kropi deszcz, a wiatr jest momentami przejmujący, więc tym bardziej nikogo prawie nie widzimy.

Ale są i polskie akcenty. Przed dwoma budynkami w podwórkach stoją auta z polskimi rejestracjami. Jasiu mówi, że aktualnie Polacy, ze względu na korzystne ceny nieruchomości na tym terenie w Czechach, coraz częściej kupują tu domy. Może to takie przypadki?



*Klasztor i kościół we wsi Bílá Voda (w części miasteczkowej)*

Wędrujemy przez duży plac, wzdłuż potoku, do kościoła, a tam niespodzianka: wchodzimy głównym wejściem przy dźwiękach Marsza Weselnego Mendelssohna!



*Wnętrze kościoła we wsi Bílá Voda (w części miasteczkowej)*

Za niecałą godzinę w kościele odbędzie się ślub i organistka ćwiczy. Przed wejściem do kościoła stoi już parę samochodów, z których jeden jest udekorowany "ślubnie". Mamy niedużo czasu, ale Jan zdąży opowiedzieć o najistotniejszych szczegółach wnętrza świątyni. Rozmawiamy też z księdzem, Słowakiem. Pytam go, jak często ma tutaj śluby i dowiadujemy się, że ten dzisiejszy jest pierwszy od ponad 2 lat. A poprzedni był też raczej wyjątkowy – pobierali się "kobieta z przeszłością i mężczyzna po przejściach", czyli para raczej już w średnim czy w starszym wieku, która wcześniej była już w związkach małżeńskich, ale wtedy bez ślubu kościelnego – i za drugim razem postanowili związać się sakramentalnie. Tak że dzisiejszy ślub kościelny to dość rzadka chwila w wiosce Bílá Voda. Pewnie jak w całych Czechach, od dawna skutecznie zlaicyzowanych.

Ale Kościół tu trwa (moja żona na ten temat wciąż cytuje testamentowe “I bramy piekielne go nie przemogą”). I stara się pozyskać nowe dusze: oglądam w wejściu do nawy głównej czeską wersję religijnego miesięcznika “Milujte se!” – “Milujte se!”, który znam z polskich kościołów, gdzie jest sprzedawany po mszach św. Na okładce wezwanie “Ježíš klepe u dveří, neváhej a otevři!”.



*Milujte se!*

I jak tu się nie uśmiechnąć? Język czeski ma na Polaków zbawienny wpływ – rozpogadza nas. No chyba, że jest to słowo “pokuta”... Najlepiej ujął ten fenomen Mariusz Szczygieł, znany ze swoich książek o Czechach, który pyta: “Po co wymyślono Czechów?”. I odpowiada: “Żeby wprowadzić Polaków w dobry nastrój”.

Na ścianie przedsiönka półka-skarbonka z napisem po niemiecku: “für die Beleuchtung”, czyli “na oświetlenie”. Tak, wtedy to oznaczało pewnie świece...

Wychodzimy z kościoła i kawałek dalej robimy “popas” pod budynkiem tutejszej fabryczki (manufaktury poniekąd), gdzie wytwarzane sa opłatki.





*Jaś Wędrowniczek (Johnnie Walker) pod sosną wejmutką a w tle oplatkowóz*

Także jako “komunikanty”, ale na to raczej w Czechach, zlaicyzowanych do cna, popyt jest niewielki (podobno ten jeden zakład wystarcza na cały kraj), więc produkują też smaczne wafle o smakach przeróżnych. Jasiu daje nam czeski produkt do oceny: wszyscy skwapliwie częstują się kawałkami okrągłych wafli o smaku sezamowym zapakowanych w stylowe pudełko upamiętniające tutejszego XVIII-wiecznego kompozytora Karla Dittersa von Dittersdorf. Jego imienia już XXV festiwal właśnie w tym czasie trwa tutaj: w różnych miejscowościach odbywają się koncerty. Z jednego z tych koncertów pochodzi też nasz, zasponsorowany przez Jasia, poczęstunek. Inni rewanżują się domowymi wypiekami i mamy bardzo fajny popas. Nawet pogoda się poprawiła. Jasiu załatwił przed wycieczką zwiedzanie tego zakładu, ale coś nie wyszło, więc zaraz po tym krótkim postoju idziemy dalej do tutejszego muzeum.



*Sala muzeum we wsi Bílá Voda (w części miasteczkowej)*

Na piętrze duża sala i sporo eksponatów, z których większość ma charakter kościelny: stoją manekiny – zakonnice prezentujące różne warianty mody sióstr zakonnych, jest

piękna szopka bożonarodzeniowa, chyba jeszcze z ub. wieku, są obrazy o tematyce religijnej – antyki i współczesne.

Obraz Świętej Rodziny oraz Jezusa w łodzi.

Przedstawiona jest historia miejscowości i okolicy, która była ośrodkiem zakonnym, specjalizowała się w szkolnictwie, ale też rozwijała gospodarczo, w czym duże zasługi słynnej Marianny Orańskiej (właśc. Wilhelmina Frederika Louise Charlotte Marianne z dynastii Oranje Nassau /1810-1883/, królowa niderlandzka i pruska), która tu na pograniczu obecnych ziem polskich i czeskich, a w jej czasach pruskich i austriackich, była inicjatorką wielu przedsięwzięć. Wiele zabytków, tu w Czechach oraz na naszej Ziemi Kłodzkiej, ziemi ząbkowickiej, w Górach Złoty i Masywie Śnieżnika to ślady aktywności tej jednej z najbardziej niekonwencjonalnych kobiet XIX-wiecznej Europy, ze względu na działalność filantropijną i charytatywną zwanej “Dobrą Panią”.

Po II wojnie socjalistyczna Czechosłowacja walcząca z Kościołem zrobiła tu miejsce internowania dla zakonnicy. Ciemna, smutna karta tutejszej historii.

Miły akcent: możemy tu w Muzeum zakupić tutejsze wafle – tym razem w smaku orzechowym, a także otrzymać gratis książeczkę w języku polskim zatytułowaną “Pogranicze opowiada”.

Z Muzeum idziemy do górnej części wsi Bílá Voda – tym razem wiejskiej.

Najpierw jeszcze raz oglądamy kościół, ale z drugiej strony, gdzie tuż za nim jest już granica państwowa. I była także kiedyś! Podobno była o tym kościele taka anegdota, że zakrytą ma już za granicą.



*Kościół i granica czesko-polska*

Zaglądamy na miejscowy cmentarz. Sporo nagrobków jeszcze z czasów gdy ludność tu była tylko niemieckojęzyczna. Mnie zawsze “wzruszają” blaszane konewki, które stoją do dyspozycji osób przychodzących pielęgnować groby.



*Cmentarz i konewki*

Gdy pierwszy raz zobaczyłem je na czeskim cmentarzu, jak sobie spokojne – choć metalowe – stały, nie bojąc się “złomiarzy”, pomyślałem ze smutkiem, że u nas się tak nie da... Ale coś i u nas się zmienia. Na lepsze! Na cmentarzu w Dusznikach-Zdroju, w parę dni później zobaczyłem też takie konewki do użytku wspólnego. Wprawdzie plastikowe, ale już są!

Jest już po ślubie i naszą grupkę, wędrującą już lekko pod górkę, mija mała kawalkada samochodów ślubnego orszaku – Państwo Młodzi na czele. Trochę klaksonów. Pozdrawiamy Nowożeńców. Jadą w tym samym kierunku, w którym i my idziemy, ale za chwilę – ku mojemu zdziwieniu – wracają: czyżby pierwsza pomyłka na nowej drodze życia? Pozdrawiamy ich jeszcze raz! Jakby co, nie przejmować się! I nie zniechęcać! Jeszcze pewnie nie raz się zdarzy zbłądzić!

Po drodze, nad potokiem, z drugiej jego strony, zabudowania: domek i jakieś przyległości. Nad tym powiewa wielka flaga, ale nie czeska. Znaczący stwierdzają że rumuńska. Wokół domu taki lekki rozgardiasz, niby nic nadzwyczajnego, ale wyróżnia się w tym czeskim poukładanym, uporządkowanym świecie.



*Rumuńska posesja*

Przez łączkę dochodzimy do miejsca, gdzie upamiętniono krótki postój cesarza Józefa II, który był tu w 1779 roku, a dokładnie 31. sierpnia (srpna) "o půl 5. hodině". I patrzył sobie stąd na rozciągającą się po horyzont równinę w ramach tradycyjnego obchodu/objazdu granic. Jakaś kronika uwieczniła wtedy, że tu "zavítal Jeho císařsko-královské-apoštolské Veličenstvo Josef II., náš nejmilostivější císař". I taki napis jest na wzniesionym małym pomniczku.



*Jego Cesarska Mość tu byl*

Dalej wędrujemy jakimś wąwozem i za chwilę wyjdziemy już ze wsi Bílá Voda. Na jednym z drzew napis sprzed już 50 lat. Czy te inicjały to byli zakochani?

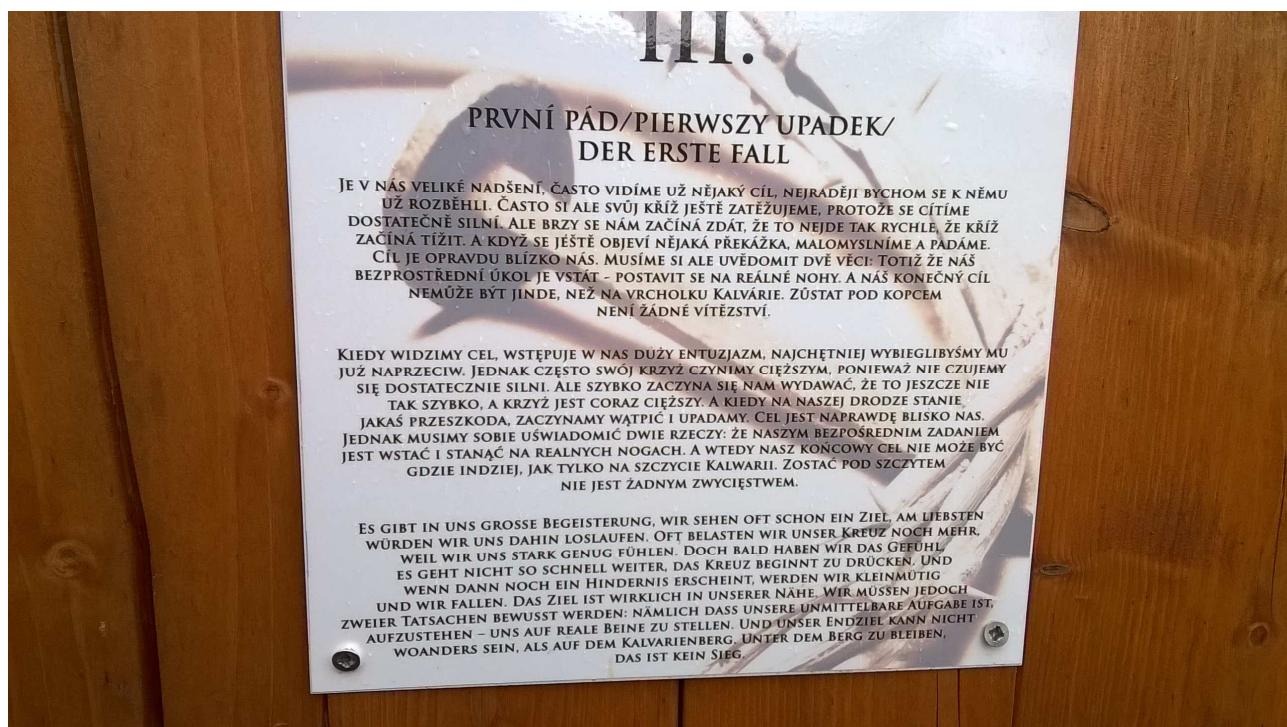


*Laska nebeska? (czyli miłość niebiańska – a właściwie "miłość nie z tej ziemi")*

Jeszcze tylko krótki postój na skraju wsi, gdzie przygotowano miejsce dla turystów i porzucamy "asfalty" aż do powrotu do Złotego Stoku. Idziemy najpierw polną, a potem leśną drogą.

Towarzyszą nam stacje współczesnej drogi krzyżowej. Ale tylko pierwsze pięć, gdyż potem nasz szlak skręca bardziej pod górę. Ta droga krzyżowa to jeszcze jeden powód, aby kiedyś tu wrócić i przeżyć ją całą. Są na jej obrazach motywy twarzy, krajobrazu. Są w jej tekstach trudne tematy, nie tylko ewangeliczne ale i współczesne. Nawiązuje też do utraconych Małych Ojczyzn – bo jest na granicy terenów zamieszkałych kiedyś przez Niemców Sudeckich, którzy odeszli stąd. Napisy są w trzech językach: czeskim, polskim i niemieckim.





Stacja III (pierwszy upadek).



Na rozdrożu Stacja V

Kto się odwrócił zanim weszliśmy już całkiem w las, mógł podziwiać, wprawdzie lekko zamglony, ale mimo to daleki jednak widok, sięgający aż po zalewy przy Paczkowie i Otmuchowie.



*Daleko w tle jeziora...*



*Szary dzień a zrobiło się kolorowo...(1)*





*Szary dzień a zrobiło się kolorowo...(2)*

Jeszcze chwila opowiadania Jasia o miejscu zwanym U Szyszki (U Šišky), które kiedyś było niewielką miejscowością, a dziś to tylko już historia. Tą nazwą określił Jasiu nasze dzisiejsze wędrowanie.



*Drogowskaz U Šišky "V místě zaniklé osady Jedlovec"*

Dochodzimy znowu do polsko-czeskiej granicy i wzdłuż niej idziemy, coraz bardziej ostro w górę na szczyt Kikoľa. To rzeczywiście spore wzniesienie, tak że grupka rozciąga się na kilkaset metrów – każdy idzie swoim tempem. Po drodze w przedwieczornej już mgle co jakiś czas otwierają się dalekie widoki na oddalone pasma górskie.



*To Sudety. Czemu o nich nie ma takich piosenek jak o Beskidzie?  
"Kiedy krzyczę w jesienną ciszę, kiedy wiatrem szeleszczą liście,  
kiedy wolność się tuli w ciepło moich rąk..."*

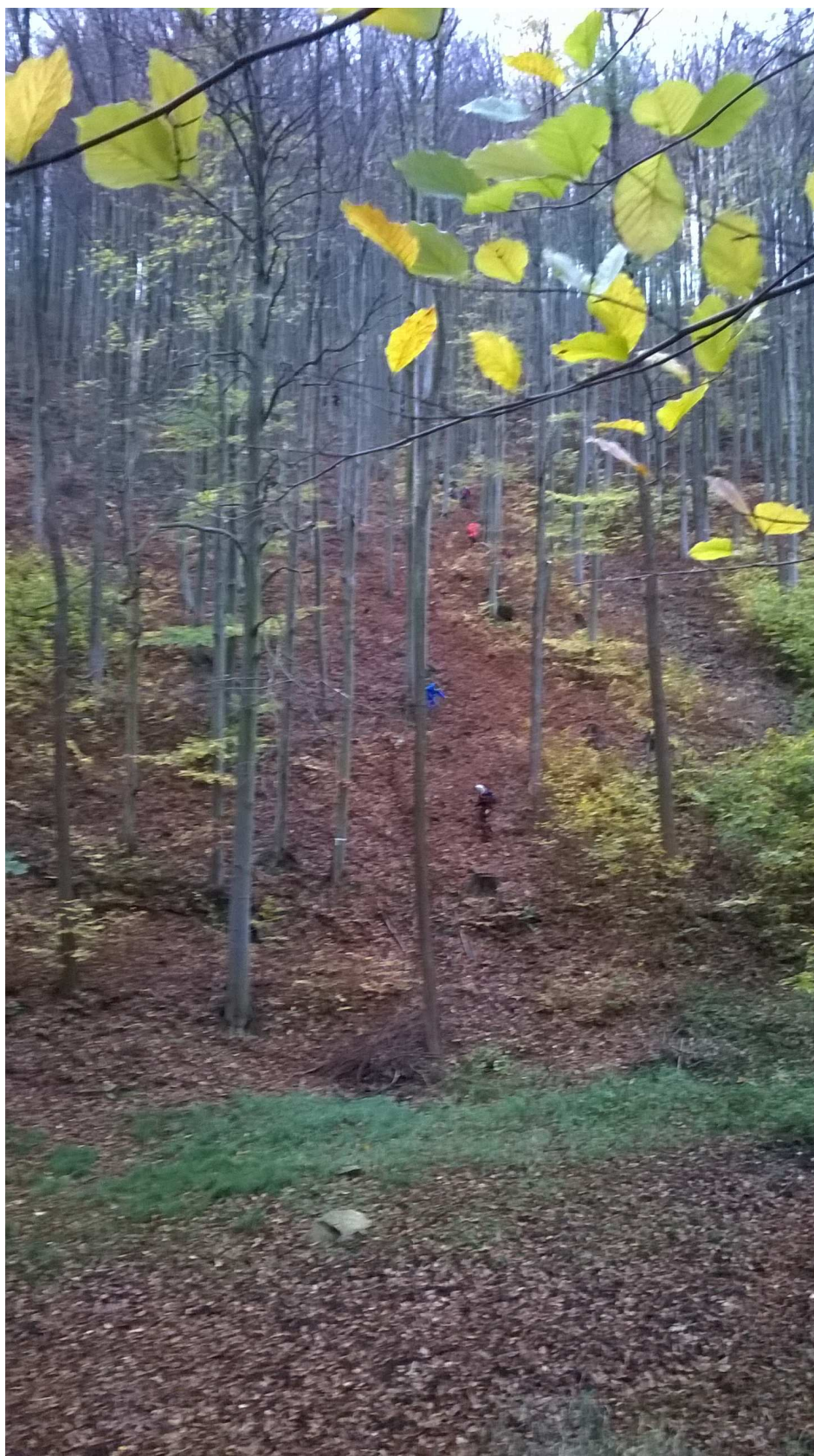
Na wierzchołku meldują się wszyscy – wcześniej lub później.



*To tu było nasze spotkanie na szczycie. I widać już tę stromiznę ze stawem na samym dole.*

I tak samo na dole, ale to było już małe wyzwanie: stok po którym schodziliśmy, już po polskiej stronie, był naprawdę stromy! Momentami trzeba się było przytrzymywać choćby jakichś krzewów, drzew czy głazów, które były tam co kawałek. A zdarzało się też, że ci co byli wyżej poruszyli jakiś kamyk, który szybko nabierał prędkości i w podskokach chciał atakować tych co szli już niżej. Nawet niebezpiecznie się zrobiło. Ja szybko znalazłem się na dole, więc to mnie nie dotyczyło. Lubię takie stromizny – traktuje to trochę jak namiastkę slalomu na nartach po stromym stoku. Ale potem patrząc już z samego dołu na niektórych, ciut mniej sprawnych uczestników naszej wycieczki, jak zsuwali się powolutku, ostrożniutko w dół (były tam też dzieci) miałem wyrzuty sumienia, że nie pomyślałem, że niektórym może trzeba było pomóc, zaasekurować w trudniejszych "pasażach" tego zejścia. No trudno, nie pomyślałem. Wszyscy szczęśliwie dotarli jednak

do podnóża tej góry. Z jednym tylko "rannym" kolegą, którego trafił właśnie taki spadający, poruszony przez innych kamień. Na szczęście tylko w łdkę.



*Stromo...*



*A to ten urokliwy staw/zbiornik na samym dole*

Ci którzy szli tam wolniej mieli jednak za to inną atrakcję. Jasiu zapowiedział na początku tego "złazu", aby uważać, bo możemy natrafić na salamandry plamiste: więc szkoda byłoby je nadepnąć! Nie wierzyłem, że mogą tam być: zimno, pada, późne popołudnie już, koniec października. Salamandry lubią przecież wygrzewać się na słońcu! A jednak były! Obejrzałem kilka zdjęć, na których zapozowały te sympatyczne czarno-żółte stworki. Żałuję, że żadnej nie widziałem. I mam też nadzieję, że nie było ich akurat na mojej drodze.

I to już był właściwie koniec wycieczki: jeszcze tylko zejście do byłej kopalni w Złotym Stoku. Po drodze przepiękne stare schronisko "Złoty Jar", szczególnie interesująco wyglądające o tej wieczornej porze, rozjarzone oświetleniem wewnątrz. Na parkingu mnóstwo aut – chyba znowu był ślub i to jest wesele?



*"Złoty jar" z bliska*



*"Złoty jar" z oddali*

Nieco niżej mijamy "park linowy", rzeczywiście mocno rozbudowany. Dawny kamieniołom, przez który można sobie teraz jeździć w uprzęży "tyrolkami", których wysokość robi wrażenie (pewnie, spod liny patrząc, wysokość tych przejazdów odbiera się jako jeszcze większą). Kawalek dalej, już w wąwozie, na długim odcinku trasa "napowietrzna" na drzewach (drabinki, "mostki linowe", itp.), na wysokości co najmniej kilku metrów. Tu już kiedyś byłem. Nie, nie jeździłem "tyrolkami", ani nie pokonywałem tego "powietrznego toru przeszkód" – to nie mój sport. Mam może nie aż lęk wysokości, ale w tym kierunku losu już kusić nie lubię. W zakresie adrenaliny wystarczają mi zimą moje narciarskie zjazdy a latem motocyklowe trasy. Doceniam jednak, że tutaj, kto lubi tego rodzaju emocje, chce się wykazać sprawnością, to ma pole do popisu.

Wychodzimy stamtąd wprost na największą atrakcję turystyczną Złotego Stoku: Kopalnię Złota.



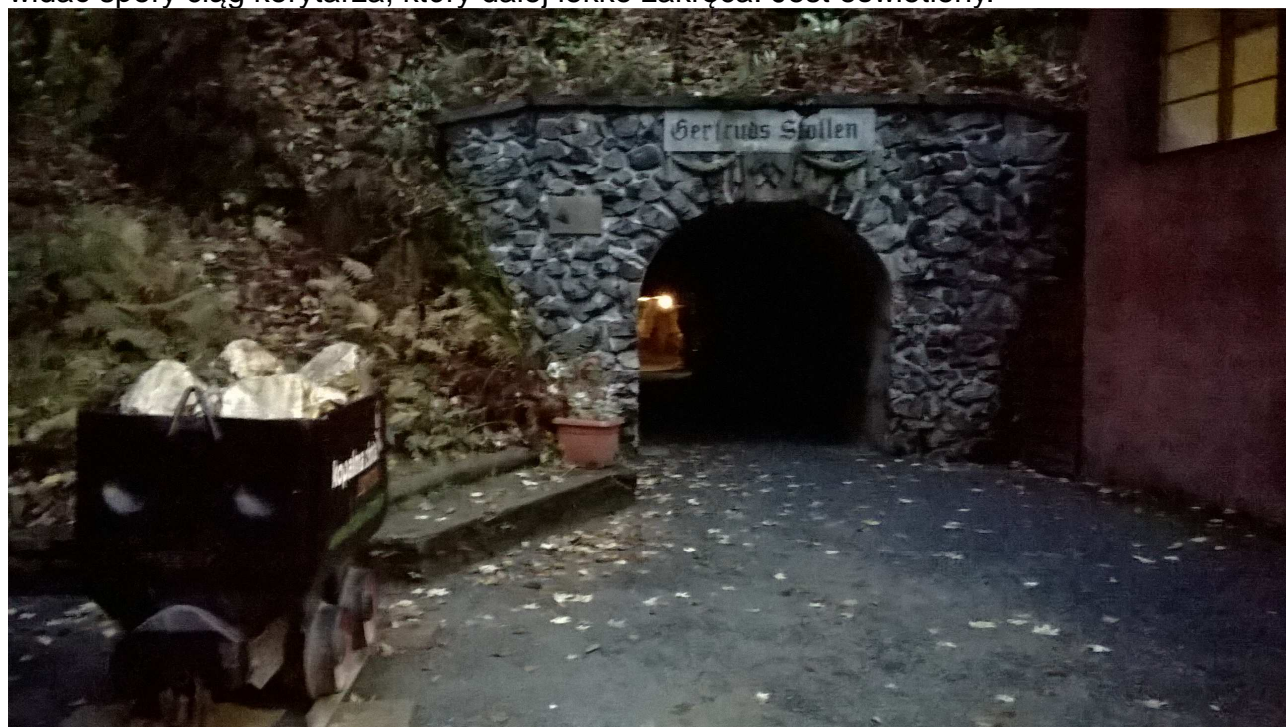
*Kopalnia Złota.*

Już "fajrant". Ostatni turyści wychodzą z mini-wagoników kolejki szynowej, którą wjeżdża się na chwilę w głąb górotworu.



*Stacja Kopalnia Złota – Główna.*

Nieco dalej inne wejście (raczej wyjście) z kopalni – dla pieszych. Otwarte na oścież, widać spory ciąg korytarza, który dalej lekko zakręca. Jest oświetlony.



*Wejście do podziemnego korytarza.*

Korzystam z okazji i po prostu idę tam sobie kawalek, bez biletu. Wracam już po ok. 100-120 metrach. Zajrzałem tylko: idzie się jeszcze sporo dalej Ale ciekawie było znaleźć się tak przez chwilę samemu, w ciszy, w podziemnym korytarzu.



*W podziemnym korytarzu*

Mijamy duże parkingi, które świadczą, że jest to zapewne w sezonie spore turystyczne centrum i dochodzimy – już po godzinie 17. – do punktu startowego wycieczki, gdzie na parkingu nasze auta stoją już w mroku. Ale po przeciwnej stronie jaśnieją teraz światła wejścia do Sztolni Ochrowej. Zgodnie z umową obsługa czeka na nas i już za chwilę prowadzą nas do wejścia do sztolni, które jest nieco wyżej, na stoku góry. Zaczynając wycieczkę widzieliśmy je za dnia, przechodząc tamtędy. Teraz widzimy tylko to, co rozświetlają nasze latarki. Na głowach mamy kaski: obowiązkowe wyposażenie przy “eksploracji” tych korytarzy. Ciasno. Momentami mokro. Oszalowanie, przez które chwilami trzeba przechodzić, jak przez tor przeszkód (a jednak). Trochę opowieści panów, którzy są tam przewodnikami, a zarazem udroznili te zasypane do niedawna podziemne przejścia, wydrążone w ubiegłych wiekach przez ówczesnych górników. Chwila namysłu nad ciężkim losem tych poszukiwaczy złota, arsenu.

Arszenik – trucizna i lekarstwo. Dwoistość rzeczy. Wszystko zależy od tego jak z nich korzystamy. Refleksja natury ogólnej. Ale już za bardzo zmęczony jestem żeby “filozofować”. Każdy z nas ma już właściwie na dzisiaj dość. Wycieczka była piękna, ale to jednak cały Dzień Boży, który już prawie mija. Jeszcze trzeba dojechać do domu. A są z nami tacy, którzy wracają do Wrocławia. Żegnamy się - do następnej wycieczki!

*Sławomir Włośniewski*